

Anna Rostkowska

Sygnatura notacji: **N1575**

Data urodzenia: **05.10.1944 r.**

Data nagrania: **12.07.2021 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Załuski, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **31 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Rostkowska: Jestem Anna Rostkowska, zamieszkałam w Zakroczymiu, mieszkam w ogóle w Zakroczymiu. W zasadzie całe swoje życie spędzam w Zakroczymiu. I datę urodzenia może podam. 5.10.1944 rok. Moi dziadkowie, babcia właściwie nie pochodziła z Zakroczymia, mieszkała przez jakiś czas w Warszawie. Potem po I wojnie światowej znalazła się w Zakroczymiu wraz ze swoim synem z pierwszego małżeństwa. Potem poznała mojego dziadka, Jana Pusza. Żyli ze sobą bardzo długo, aż do śmierci. Mieli dwóch synów jeszcze, łącznie troje dzieci, bo dziadek uznawał tego pierwszego syna za swojego. To byli rodzice właśnie mojego ojca, Edmunda Bręgoszewskiego, o którym będę mówiła. Babcia z domu nazywała się Wiktoria Struwe, a matka była Anna Lorkowska i pochodziła gdzieś ze Wschodu. Natomiast Leon Struwe, ojciec mojej babci, mieszkał w Warszawie. Nie wiem, czy prowadził też intro-ligatarnię. Jego syn na pewno, Rajmund Struwe, tak. Ale coś tak mi się obilo o uszy, że ten właśnie mój pradziadek też prowadził. Nawet mam tu gdzieś w papierach tę intro-ligatarnię. Babcia była wykształconą osobą, jak na dawne czasy, ponieważ skończyła jakieś ruskie gimnazjum, a to tylko z tego powodu, wiadomo, że to wtedy była Polska pod zaborami, a z tego powodu skończyła to gimnazjum, że była chrześnicą jakiegoś oficera rosyjskiego i wraz z jego córką uczęszczała do tej szkoły. Bo to, wiadomo, Polki nie mogły być wykształcone. Babcia moja to była, można powiedzieć, damą. Różniła się nawet wśród osób, które zamieszkiwały Zakroczym, kobiet, bo opowiadała mi, że przywozła całe pudła kapeluszy, jak się tu sprowadzała, ale już w tych kapeluszach nie chodziła w Zakroczymiu. Dostosowała się ogólnie do osób tu mieszkających. Zawsze była bardzo elegancka. Dziadek natomiast miał niezwykle zdolności, ale był człowiekiem prostym. Urodził się w Wólce Przybójewskiej koło Zakroczymia. Też znałam ich imiona, tych dziadka rodziców. Matka była Marianna Koncz z domu, ojciec Ludwik Pusz. A mój dziadek Jan Pusz. Ale był człowiekiem niezwykle zdolnym, potrafił grać na skrzypcach. Pierwsze sobie, jak Janko Muzykant, sam zrobił

te skrzypce i na nich wygrywał, dopóki też mu chyba coś tam w szkodę nie weszło, więc mu poślukli. Ale później, jak już kupił sobie skrzypce i grał na weselach, wtedy już rodzicom też to pasowało, bo jakieś pieniądze przynosił. Natomiast nie potrafił czytać, nie potrafił pisać, ale moja babcia go nauczyła. I dziadek później już mógł sobie sam gazety czytać, sam mógł zanotowywać numery domów, adresy, gdzie tam pracował, bo w Modlinie też całe życie właściwie, w Modlinie Twierdzy przepracował, był zdunem. Później najmłodszego syna też nauczył tego fachu. I mój ojciec pracował jako zdun w Modlinie w Twierdzy wraz ze swoim bratem, z tym, który nie był rodzonym dzieckiem dziadka, ze Zbigniewem Bręgoszewskim też. A jeszcze taka ciekawostka, że prawie każdy się nazywał inaczej, ale to w Zakroczymiu było i uważam, że wśród większości ludzi, którzy w tamtym okresie żyli, to nie przykładali jakiegoś znaczenia do jednej litery w nazwisku pomyłonej czy dwóch, bo znam masę osób w Zakroczymiu, że dwaj bracia się nazywają inaczej, trzeci brat też inaczej. I wszystko, co mogę powiedzieć o tych rodzicach mojego ojca. Moja babcia bardzo kochała moją mamę. Chyba lepiej jeszcze niż swojego syna. Bo moja mama w zasadzie była sierotą. Matka jej zmarła, kiedy mama miała 11 miesięcy, i to zostało czworo dzieci. Mama była najmłodsza wtedy. I praktycznie matki nie znała, a babcia później zastępowała jej w całej rozciągłości tę matkę, którą powinna mieć w zasadzie od urodzenia, a nie w późniejszym okresie. Relacje były super, bardzo dobre. Najstarszy brat właśnie, Zbigniew, to jest moim chrzestnym. Wujka drugiego, wujka Henryka, kochałam chyba jeszcze bardziej niż chrzestnego. Wszyscy byli, mimo różnych przeżyć, mimo cierpień i okropnych przeżyć, pogodnymi ludźmi. Jak się razem zbierali, to zaraz mój ojciec grał na mandolinie, wujek Henio na skrzypcach, dziadek im tam pomagał, a wujek Zbyszek chociaż na pokrywkach, ale tworzyli orkiestrę i zawsze w domu było wesoło, biednie, ale wesoło. Wiem od starszych ludzi, których już też nie ma, że dziadek jakieś okopy, bo my mieszkamy na takiej skarpie i dziadek to był pomysłowym człowiekiem, kopał jakieś tam rowy, okopy. I wiem, że ludzie przychodzili chować się przed nalotami tam do dziadka. I dziadek jakoś, nie wiem, jak on sobie to wykombinował, wiedział, w którą stronę będą te bomby spadały. O wojnie to raczej wiem mało. Mój dziadek Królikowski, ojciec mojej mamy, on też mieszkał w Zakroczymiu, później się dopiero jakoś po wojnie chyba wyprowadził. Ale prowadził kasyno oficerskie, to się tak nazywało, nie tak jak teraz kasyno, że tam w coś grają, tylko kasyno dla oficerów. Mama chyba miała 15 albo 16 lat i chyba była ładną kobietą, ładną dziewczyną. I generał Thommée zawsze prosił, żeby go Jadziunia obsługiwała. To takie może ciekawostki. To kasyno było nad samą Narwią, naprzeciwko stojącego jeszcze do dziś, to był spichlerz czy coś takiego. Te mury jeszcze stoją.

Dorota Grzechocińska: W Twierdzy Modlin.

Anna Rostkowska: Tak, w Twierdzy Modlin. Kiedyś byliśmy tam z ojcem i z mamą. To tylko się zachowało, ale to już też bardzo dawno, kawałek posadzki się zachował z tego kasyna. Tak to tylko już plac był porośnięty drzewami. Wie-działam, że ojciec przebywał na forcie, że był aresztowany. Ale to tylko tak z opowieści, jak mama rozmawiała, mówiła coś do babci, po prostu nie od ojca. A to akurat bardzo dokładnie pamiętam, bo to było, moja mama zmarła 22 stycznia 1988 roku, nie, przepraszam, dobrze, 22, a pogrzeb był 25 stycznia. I siedzieliśmy wtedy przy kolacji, po tym pogrzebie, wiadomo, mama miała 63 lata, jak zmarła. I to były tragiczne wydarzenia. I wtedy ojciec jakby się tak rozkleił, chciał może przekazać tym swoim dzieciom to, co przeżył, co go tam czekało, jakie cierpienia znosił, i właśnie może nie wszystko pamiętam, bo on nam dokładnie opowiadał, ale ja nawet nie pamiętam, kto u nas był na tej kolacji. Tylko pamiętam z opowiadania ojca, że go aresztowali na bramie w Modlinie z bratem, tym najstarszym, Zbigniewem. I ich nigdy nie sprawdzali, ponieważ oni tam pracowali i mieli przepustki, ale musiał ktoś usłużyć ich wydać po prostu, że coś przenoszą.

I od razu z tej bramy przewieźli ich właśnie do fortu w Pomiechówku. I tam się rozpoczęły dopiero te badania, przesłuchiwanie. I właśnie zaintrygowała mnie taka rzecz, że ojciec, jak opowiadał, że od razu był bity, i to okropnie, ale w pewnym momencie przesłuchiwał go jakiś gestapowiec wysokiej rangi w obecności tłumacza. A ojciec, ponieważ wojna już jakiś czas trwała i pracował w Modlinie, więc dosyć dobrze rozumiał po niemiecku, chociaż nie mówił, ale rozumiał. I w pewnym momencie, kiedy zawołali na chwilę, tłumacz wyszedł, to ten gestapowiec odezwał się do ojca najczystsza polszczyzną i powiedział mu w ten sposób: „Twojemu bratu pomóc nie mogę, natomiast ty, jeżeli wytrzymasz te przesłuchania, to stąd wyjdiesz. Tylko nic nie wiesz i do niczego się nie przyznawaj”. Ojciec był zszokowany, że ten gestapowiec tak dobrze mówi po polsku. I mówił, że całe swoje życie, jeżeli wspominał Pomiechówek, to się zastanawiał, kto to mógł być. Później, wiadomo, brali go na te przesłuchania, bili. Mówił, że nadstawiał tylko głowę, bo to było nie do wytrzymania, jak ludzi tam bili i co z nimi wyprawiali. Jak dostawał w głowę, się starał tylko jak najszybciej przytomność stracić. I później go tam wywlekali z tej celi. Bo wydaje mi się, że razem, nie jestem tego pewna, ale wydaje mi się, że mówił, że razem był z tym wujkiem, tym bratem swoim, Zbigniewem. W zasadzie to więcej on nie mówił o tym swoim pobycie w Pomiechówku. Tylko mówił, że to było coś okropnego, że ludzi bili tak, że w okolicach szyi to kąt wychodził z człowieka. Tak byli katowani. Ślady katowania to nosił, ja się nigdy go nie pytałam, że miał takie brązowe pręgi na plecach. Nigdy nie pytałam, co to jest. Nie słyszał na jedno ucho. Ktoś go wołał, to nie wiedział, z której strony głos dochodzi. I miał jakieś kłopoty z błędnikiem, bo jeżeli się tylko trochę przeziębził, jakiś tam katar miał, to chodził prawie po ścianach, jak to się mówi. No i to tyle. Jeszcze mogę tylko powiedzieć, że mimo wszystko, mimo tych cierpień przebytych, został zwolniony, co do dat to nie mam pamięci, nie pamiętam, po prostu nie mówił, kiedy został zwolniony, ale mimo tego wszystkiego to jakoś taką pogodę ducha zachował, że był wesołym, był duszą towarzystwa. Jak mu się to udawało, nie wiem. Z moją mamą żyli w wielkiej zgodzie, bardzo dobrze. Czworo dzieci mieli, właściwie mieli pięcioro, najmłodsza siostra zmarła jako małe dziecko. I co mogę powiedzieć? Mnie się nie wydawało, że my jesteśmy biedni, bo u nas zawsze coś tam do tego jedzenia było. Ale ojca nigdy nie drażniło to, jak do jego czworga dzieci przyszło jeszcze czworo czy nawet więcej kolegów, koleżanek. Co bardzo dziwiło nawet moje już dorosłe później koleżanki z liceum, że „jak to, a twój tata nic nie powie, że nas zaprosił?” To mnie to bardzo dziwiło, no jak to, mój tata by coś powiedział? Kochał wszystkie dzieci i zawsze w domu było fajnie, wesoło. Ojciec był nerwowy, ale szybko mu nerwy mijały. I w ostatnim okresie życia, miał 70 lat, już po śmierci swojej żony, a w ogóle sobie nie mógł darować, że mama nie żyje. Więc z ojcem już było wtedy ciężko. Ciężko było nawet wytrzymać. Nie chciał od nas żadnej pomocy. Sam sobie chciał radzić. Jak przynosiłam mu jakiś obiad, to krzyczał: „Zabieraj to!”. A ja mówię: „Mogę wylać psu”. „No to nie wylewaj”. I po prostu takie rzeczy pamiętam. I dostał udaru, mając 70 lat. I to bardzo ciężkiego, miał... wypalony, jak tam było w tym opisie lekarskim, wypalony, jakieś znaczne ubytki kory mózgowej w okolicach czołowych, coś takiego. I to wiadomo, bez kory mózgowej, lekarz mi opowiadał, że on tak słyszy, jakby radio grało tak przerywanie, że musiałam mu po kilkanaście razy coś powtarzać, zapomniał mówić, ciężko było, ciężko było. Czytał najpierw jako zdrowy człowiek książki, po mamy śmierci to pochłaniał kilogramami, kiedyś likwidowali taki sklep w Twierdzy i mu tyle książek nakupiłam, żeby miał co czytać. Ale czytał bardzo dużo. Z chwilą, kiedy zachorował, niestety zapomniał mówić, zapomniał czytać, pisać. Nawet u lekarza, bo był inwalidą już pierwszej grupy, to jak mu lekarz dał długopis w rękę, to coś tam nabazgrolił. To już było tak. I żył jeszcze po tym udarze 7 lat. Zmarł w wieku 77 lat. Momentami to tak to nas wszystkich poznawał. A nawet miał trochę jeszcze poczucia humoru, trochę mu ten mózg działał, ale miał takie napady lękowe. Po prostu nieraz tak się bał, że potrafił, u nas u rodziców stała taka szafa na dosyć wysokich nogach, to się potrafił pod tę szafę schować, gdzie ja go nie mogłam wyciągnąć, bo się bał. To tak Pomiechówek zaważył na jego życiu. Wiem, że niekto-

rych osób nie lubił, ale nie mówił jakich, bo odnosiłam wrażenie, że ich o coś podejrzewa. I tam nieraz tak się wyrażał: „a ten to łajza, a ten to...” Bo na pewno ludzie, jeżeli ktoś przeżył i rozmawiali między sobą, to mieli pewne podejrzenia. Ale jak to się mówi, jak się kogoś za rękę nie złapie, to mu się nic nie udowodni, prawda? Wiem, że kiedy pana Chilickiego zagnała rodzina, to wiem, że tam była i moja babcia, i moja mama. Nie wiem, czy w tym samym czasie wywozili też tego mojego wujka Zbigniewa. W jakim czasie, kiedy wywieźli tego wujka do obozu, to nie pamiętam, ale właśnie został do Stutthofu wywieziony. Tam właściwie przebywał do końca. Właściwie to nie rozwiązywali tego obozu, tylko jakby ewakuowali, przenosili obóz i wtedy temu wujkowi udało się uciec. Po prostu już Niemcy tak nie pilnowali tych więźniów, bo to i naloty trwały. Wiadomo, to były okolice tego Gdańska. Tam mieszkała ludność niemiecka, więc też wynosili się stamtąd, uciekali. I tylko pamiętam, jak mi córka Zbigniewa właśnie opowiadała, że ojciec wraz z drugim tym więźniem uciekli przy jakiejś okazji i szukali czegoś do jedzenia. I w pewnym domu znaleźli w piwnicy jakąś misę ze śmietaną. I ten wujek ostrzegał tak tego swojego towarzysza, żeby on nie jadł tego, nie pił. Ale tamten jak się dorwał do tej śmietany, to tam trupem padł. Bo to byli ludzie tak wycieńczeni, tak wygłodniali, że to trudno powiedzieć nawet, jak to się odbywało, jak się dostał do domu, też nie wiem. W każdym razie przyszedł do domu, żył krócej niż mój ojciec jeszcze. Ojciec ze swoich braci żył najdłużej, można powiedzieć. Do pewnego czasu miałam jego kartę, którą on pisał do matki, właśnie z Niemiec, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd, bo kiedyś, jak tu był pochowany, był właśnie na naszym cmentarzu pochowany, a później syn ekshumował zwłoki i przeniósł go do Lubina, syn Radosław, to był jedyny syn tego wujka Henryka. I ja mu dałam na pamiątkę, żeby miał tę kartę, to już było też dosyć dawno. Tak że nie pamiętam, gdzie on przebywał. I tam też pisał do tych rodziców, żeby mu matka chleba nie przysyłała, bo pleśniej, tylko tam prosił ich o coś tam, o bieliznę jakąś. Mnie się nie mieściło w głowie, że ludzie mogą ludziom zgotować taki los. Mnie się to nie mieściło w głowie i wyobrażałam sobie tych ludzi, a zwłaszcza po pani publikacji, kiedy... Wiedziałam, ja już dawno wiedziałam, że tam jedni musieli patrzeć na egzekucje drugich, ale pani to tak opisała dosyć wstrząsająco, że ja jak to sobie wyobraziłam, a mam dosyć bujną wyobraźnię, to w nocy spać nie mogłam. To jest coś okropnego, to takie kazamaty, że to jest niewyobrażalne. To młodzi ludzie powinni też tam jeździć i sobie powyobrażać. I to nie było tak, jak teraz jest na filmach, że człowieka biją, człowiek wstaje i dalej walczy, chodzi. To było coś potwornego, tam z ludzi to robili wraki. Tam wsadzali ludzi za nic. Bronili swojego kraju, każdy broni swojej rodziny, normalny człowiek, broni swojej ojczyzny, a tam to jest po prostu nie do opisania, to jest miejsce takie, gdzie, nie wiem, na kolanach się powinno wchodzić. Chciałam coś powiedzieć o byłej więźniarce Pawiaka, którą poznałam, zaraz powiem, w jakich okolicznościach. Ta pani nazywała się Mirosława Olak, była więźniarką Pawiaka, a potem obozu, ale nie jestem pewna, czy nie Ravensbrück. Obóz też przetrwała, a ja ją poznałam w takich rodzinnych okolicznościach. Była ona taką przyjaciółką rodziny mojego dziadka, następnie córki mojego dziadka, mojej ciotki, i właśnie u tej cioci, u cioci Julii, poznałam tę panią Mirosławę. Ona była na wszelkich takich rodzinnych uroczystościach. I ta pani bardzo mi tak jakoś imponowała, to była już pani starsza, ja wtedy byłam bardzo młodą dziewczyną. Była taką kulturalną bardzo panią i zapamiętałam ją, że zawsze paliła papierosa w takich firkach szklanych. I ona była też pogodną osobą, mimo że przeszła niesamowite rzeczy. I ja nie tyle może nawet od niej to wiedziałam wszystko, ale ponieważ lubiłam ją i chyba od swojej tej cioci Julii słyszałam te opowieści. I słyszałam, że ona właśnie, przebywając na Pawiaku, miała zawsze karty i na Pawiaku to chyba te karty nawet były zrobione specjalnie tam jakieś, z czego oni to robili, to nie wiem. I ona współwięźniarkom wróżyła. Po prostu wróżyła im dlatego, a potrafiła jakoś wróżyć, niektóre osoby mają takie predyspozycje, a wróżyła im dlatego, żeby ich po prostu podnieść na duchu, bo tam też osoby były torturowane niesamowicie, i dowiedzieli się o tym gestapowcy, którzy tam urzędowali. I jeden z tych właśnie gestapowców, dowiedziawszy się, że ta ciotka Miła, jak ją

będę nazywała, potrafi wróżyć, wezwał ją tam do siebie. Ona była strasznie najpierw przestraszona, bo myślała, że dostanie kulę w głowę. Ale jak się okazało, on chciał coś wiedzieć o swojej rodzinie czy o swoich losach. Ta ciotka była bardzo ostrożna. Co tam wyszło z kart mu dobrego, to tam mu przekazywała. Co niedobrego, to nie za bardzo. Ale ponieważ za mury Pawiaka dochodziły różne wieści, jakoś tam przemycane, jak kogoś świeżego zdążyli złapać na ulicach i ktoś przyszedł, to przekazywał, co tam się działo poza murami. I kiedy się dowiedziała, że mają zabić też jakiegoś gestapowca, więc temu, który ją wzywał na te sesje wrózenia, też opowiedziała, że prawdopodobnie jakiś jego przyjaciel zginie. Więc on później bardzo jej wierzył w te karty i to, co ona mówiła. Bała się niesamowicie, ale miała taką odskocznę, że wyszła z tej celi i została poczęstowana jakimś papierosem czy kawałkiem czekolady nawet. Tyle wiedziałam właśnie o jej pobycie na Pawiaku. Później o więzieniu nie wiedziałam nic. Natomiast wiem, jak przyszła. Żyła w biedzie, po prostu w biedzie, tułała się tak, a mieszkała na Pańskiej, ale że miała dobre serce, kogoś tam do siebie wzięła, może nawet dlatego, żeby czynsz płacił, wzięła taką jakąś rodzinę. Tej rodzinie się urodziło, mąż i żona, dziecko i ona tak już nie była u siebie, że po prostu wołała pojechać, dopóki żył jej brat, gdzieś tam do brata, pojechać do swojego znajomego, czyli mojego dziadka Królikowskiego, pojechać do tej mojej cioci Julii Łojaszczyk. Czy święta jakieś były, czy jakieś tam okazje, urodziny, imieniny i tym podobne, to ona zawsze była pomocna. Ta moja ciocia właśnie, Julia, bardzo lubiła tę ciotkę Mitę. Wszyscy nazywali ją ciotką Mitą. Jak ja ją poznałam, to ja może miałam 15 lat, 16, a mi się wydawała już starszą panią. Ja zresztą mam ją na zdjęciach. To chyba od niej nawet słyszałam, że była tam jakaś widocznie skatowana mocno kobieta, która chciała, żeby ta ciotka jej postawiła te karty, żeby jej wróżyła. Wychodziło wszystko źle, wszystko fatalnie, ale absolutnie nie umiała jej tego powiedzieć, tylko widziała, że ona nie pociągnie długo, i wszystko jej w najlepszym świetle opowiadała. Ona z uśmiechem na ustach umarła. I prawdopodobnie też tym więźniarkom całej prawdy nie mówiła, co z tych kart wynikało. Ja zresztą w karty to tylko wierzyłam kiedyś, jak byłam młoda. Ale bardzo tę ciotkę lubiłam i kiedy była okazja, to się ją brało pod rączki, kocyk. I takie wrzosowisko w Międzyzlesiu, tam, gdzie mieszkała ta moja chrzestna, było takie wrzosowisko, rów melioracyjny i kładka, to żeśmy po tej kładce, tam w tym wrzosie kocyk jej rozkładały. Chciała czy nie chciała, ale była zmuszona przez te młode panienki do wrózenia im. Tylko nie bardzo chciała, bo tutaj przyjęcie, tu goście, tu można było sobie pogadać z kimś starszym, a nie z gówniarkami takimi. Ale nam nie odmawiała tego wrózenia, tylko: „A jeszcze, ciociu, a jeszcze to, jeszcze tamto”, to ona mówi: „Karty się zmęczyły, trzeba odłożyć i za jakąś chwilę znów wróżyć”. To takie ciekawostki.

Dorota Grzechocińska: Ona była osobą samotną?

Anna Rostkowska: Samotną. Wiedziałam od swojej mamy, że miała męża policjanta i była wdową. Ale kiedy on zmarł, czy przed wojną, czy w wojnę, czy został, tego nie wiem. Tego nie wiem, a już nie ma kogo spytać, kto by wiedział. Była tak fajną osobą, że nie wiem, dlaczego ona przyszła mi na myśl, żebym o niej coś powiedziała. Nie wiem czemu. Tu jest dziadek ze swoim synem Henrykiem.

Dorota Grzechocińska: Ten, który był na robotach przymusowych.

Anna Rostkowska: Ten, który był na robotach. I tu jest też dziadek z tym. I tu jest dziadek. A to jest dziadka siostra. Tu jest babcia.